

Edward Balcerzan

HUMANISTA: ODPOWIEDZIALNOŚĆ I ODDZIAŁYWANIE

1.

Ponad trzydzieści lat temu, gdy kończyła się, przed stanem wojennym, era PRL, czytaliśmy namiętnie zbiór esejów Jana Józefa Szczepańskiego *Przed nieznanym trybunałem*. Autor nawiązywał do powojennych dyskusji na temat koncepcji honoru w prozie Josepha Conrada. Honor, obowiązek, odpowiedzialność¹, podobnie jak misja, posłannictwo, służba – tworzą, rzecz by można, uroczyste pole wyrazowe, które jesteśmy skłonni z różnych powodów *m o n u m e n t a l i z o w a ć*. Wyrażenie „nieznany trybunał” brzmi tajemniczo, a tajemniczość obdarza wartością nas, pragnących wierzyć, że nie przed jakąś komisją czy podkomisją, nie przed sądem rejonowym mamy składać sprawozdanie z własnej aktywności społecznej, ale przed wysokim trybunałem o niewiadomych uprawnieniach. Podobną aurę wzniosłości czujemy, mówiąc o odpowiedzialności wobec historii, narodu, ludzkości, Boga... Żaden ustrój nie rezygnuje z takich intonacji. Kanony polskiego socrealizmu – pamiętam je z lat licealnych – kazały odwoływać się do Partii (koniecznie przez duże P). Ostatnie słowa *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka, który nabroił, krytykując realny socjalizm, ale musiał znaleźć dla siebie bezpieczne alibi, w takie oto układały się wołanie: „o jasne prawdy, / o zboże wolności, / o rozum płomienny, / o rozum płomienny, / upominamy się codziennie, / upominamy się Partią”.

Monumentalizację poczucia odpowiedzialności, posłannictwa, służby, misji, honoru można uzasadniać na różne sposoby. Ograniczę się do jednego kryterium: samopoczucia. Z pewnej pracy historyka psychologii wynotowałem sobie kiedyś zdanie, że różne teorie metafizyczne są przez filozofów tworzone „celem poczucia się dobrze w obrębie wszechświata jako całości”. Fraza jest trochę toporna, być może właśnie dlatego pozostaje w pamięci. Otóż – nawiązując do cytowanych słów – tworzymy patetyczne wizje nieznanego trybunału głównie w tym właśnie celu: poczucia się dobrze, sensownie.

Ale jak wszystkie szczytne cele, tak i ten miewa swe mroczne odbicia. Najszlachetniejsze idee i obrazy często przedostają się do propagandowej nowomowy – w każdej orientacji ideologicznej. Bardzo łatwo i bezkarnie można pojęciem świetlanej przyszłości, historycznej racji, światopoglądowego dziedzictwa szafować dla osiągnięcia korzyści partykularnych, moralnie wątpliwych.

¹ Tekst tego artykułu jest skróconym, a w licznych partiach gruntownie przeredagowanym zapisem prelekcji, którą wygłosiłem 26 października 2017 r., podczas poświęconego odpowiedzialności humanisty sympozjum doktorantów Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM w Poznaniu.

W moim wystąpieniu – świadomie – obniżam te horyzonty, by kwestię odpowiedzialności sprowadzić do realnych, nieodświętnych doświadczeń, które są doświadczeniami dostępnymi humaniście-literaturoznawcy, mającemu (jak każdy z nas) pewien wgląd w dramaturgię badawczą i dydaktyczną dyscyplin pokrewnych. Będą to więc spostrzeżenia praktyka, „zawodowego” humanisty, literaturoznawcy, filologa, neofilologa. W naszkicowanej tym sposobem perspektywie chcę widzieć humanistę jako osobę konkretną, dzisiejszą, pojedynczą, o własnej, niepowtarzalnej tożsamości i jedynej w swoim rodzaju biografii. Zatem nie bezimienny reprezentant abstrakcyjnego uniwersum humanistyki, ani nie *pars pro toto* ogólnie ujmowanej wiedzy o człowieku i jego kulturze, lecz ktoś znany z imienia i nazwiska, kto ma swoją datę, miejsce urodzenia, kto w określonych uwarunkowaniach pobierał nauki, błędził, przeżywał iluminacje i rozczarowania, docierał do własnych rozstrzygnięć życiowych, studiował, został historykiem, socjologiem, literaturoznawcą, translatologiem ...

Gdy chcemy opisać jego powinność i jego odpowiedzialność, musimy sobie wyjaśnić dwie kwestie elementarne: wobec kogo i za co (tak postrzegany) humanista miałby odpowiadać. Otóż oceniają go nie trybunały, nawet nie zbiorowości², lecz jednostki, „istoty takie, jak on” – powiedzielibyśmy, parafrazując definicję „ludzi” w słowniku Anny Wierzbickiej. Profesjonalny humanista odpowiada z a i jednocześnie w o b e c tych, którzy znajdowali się lub znajdują w kręgu jego poczynań i na których jego zawodowe czyny w jakikolwiek sposób oddziaływały lub oddziałują. Innymi słowy jest to odpowiedzialność biografii za biografię.

W rozumowaniu powyższym zarówno oddziaływanie, jak i odpowiedzialność okazują się dwoma wymiarami tej samej rzeczywistości. Z chwilą, gdy faktem danej biografii staje się jej oddziaływanie na biografię inną (z reguły są to sprzężenia zwrotne, o czym będę mówił nieco później), nieodmiennie pojawia się kwestia oceny rezultatu owych oddziaływań, czyli – problem odpowiedzialności, jakie się ponosi za interwencję w czyjąś świadomość, wrażliwość, wyobraźnię, wiedzę.

Bystry obserwator mógłby w tym momencie zauważyć, że przy pomocy powyższej formuły da się dokonać opisu wszelkich interakcji międzysobowych, wykraczając daleko poza obręb profesjonalnej aktywności humanisty. W życiu rodzinnym, szkolnym, urzędowym, wyznaniowym, bezwyznaniowym, obyczajowym, literackim, politycznym itd. podlegamy identycznym procesom – stanowiącym inspirację dla licznych form piśmiennictwa naukowego i artystycznego, a także dla niewerbalnych lub multimedialnych dziedzin sztuki fabularnej. Lecz skoro tak, na jakiej zasadzie wyodrębnia się *differentia specifica* humanistyki naukowej?

² Pracując ze studenckim kolektywem, z grupą konwersatoryjną lub seminaryjną, wielokrotnie mogłem się przekonać, że moje relacje – im dłużej trwają zajęcia – coraz wyraźniej indywidualizują się, wymagają zróżnicowanych „języków” dydaktycznych, dobieranych niejako do każdej osoby, w zależności od jej odczytania, tradycji domowo-szkolnych, podatności na mody generacyjne i literaturoznawcze, wrażliwości, pracowitości, fantazji. (Nawiasem mówiąc nie zauważyłem, by w tych procesach odgrywała jakąkolwiek rolę – pleć młodej osoby.)

Wewnętrznie zróżnicowana, wypowiadająca się za pomocą wielu specjalności badawczych, naukowa humanistyka jest w istocie jedną z wielu humanistyki. Obok literatury, sztuki, religii, polityki, socjotechniki... Również świadomość potoczna, a zarazem praktyka życiowa, mieszczą się w nad wyraz pojemnym zbiorze humanistik³. W punkcie wyjścia, w najszerszej perspektywie rozumienia świata, wszystkie bez wyjątku postaci humanistyki podlegają tym samym normom istnienia. Jest to istnienie dwoiste, aktywne na zewnątrz i jednocześnie wewnątrz własnego przedmiotu poznania. Zarazem każda z odmian humanistyki tym się różni od pozostałych, że dysponuje odrębnym językiem i metajęzykiem, posługuje się swoistymi instrumentami poznania (i samopoznania). Julian Przyboś postulował potrzebę teorii „poznania lirycznego”; analogicznie dałoby się wyróżnić powieściowe, dramaturgiczne, sceniczne, filmowe, malarskie, a nawet muzyczne poznanie (poznawanie) człowieka świata, bezpośrednio powiązane z formami oddziaływania na osobowość twórców i odbiorców.

Ujawnianie – historycznie zmiennych – podobieństw i różnic między poszczególnymi humanistykami stanowi zadanie osobne, realizowane przez kolejne generacje znawców. Tu poprzestaną na jednej tylko obserwacji: każda z odmian humanistyki dysponuje odmiennymi (niesymetrycznymi) środkami opisu i oceny humanistyki pozostałych. Gdy porównamy repertuar środków służących literaturoznawstwu do oceny obrazu ludzkiego świata w literaturze artystycznej – z instrumentarium, które z kolei pozwala literaturze wartościować humanistykę literaturoznawczą, i gdy analogiczną – dwukierunkową – konfrontację przeprowadzimy między socjologią a religią, psychologią a polityką etc., wyraziście zobaczymy to, co w strukturze każdej z tych dziedzin jest konstytutywne. Jedną z doniosłych różnic wyznaczają relacje między swobodą a przymusem. W dowolnie wybranej „strefie wpływów” tej czy innej humanistyki (wpływów na jednostkę) dają się rozpoznać mechanizmy sprzyjające wolności wyborów i ograniczające tę wolność. W dalszym ciągu mojej wypowiedzi nie będę wracał do tych zagadnień, przyjmując, że stanowią one domyślne tło dla postrzegania humanistyki jako nauki w całości i w jej szczegółowych specjalnościach (także w specjalności literaturoznawczej).

2.

Differentia specifica zajmującej mnie tutaj dziedziny uobecnia się w trzech podstawowych obszarach aktywności, które określają odmienne rodzaje odpowiedzialności uczzonego.

Po pierwsze, humanista odpowiada przed sobą samym – za samego siebie. Odpowiada za to, czym się stał, gdy wybrał zawód humanisty, co sobie samemu (dobrego lub złego) uczynił, jak ukształtował (co nierzadko znaczy: uszanował) własną wrażliwość, wyobraźnię, ctykę, a wreszcie sposób obcowania z innymi ludźmi.

³ Pod niektórymi względami wyróżniane tym sposobem „humanistyki” przypominają „wtróne systemy modelujące” Jurija Łotmana i Szkoły Tartusko-Moskiewskiej, a z innego punktu widzenia – „dyskursy” według Michela Foucault i jego kontynuatorów.

Po drugie, jest rozliczany za własną działalność zawodową (lub za brak działalności) wobec własnego środowiska naukowego. Przez środowisko naukowe rozumiem całą, pokoleniowo zróżnicowaną wspólnotę, od studentów do profesorów, od doktorantów i początkujących nauczycieli akademickich do promotorów, mistrzów, seniorów. Więzi międzypersonalne mają tu wprawdzie charakter w znacznej mierze instytucjonalny, zwłaszcza gdy chodzi o akademicko zhierarchizowaną wspólnotę, jej procedury awansowe, podporządkowania administracyjne etc., mimo to tezy o całkowitym wchłonięciu działalności naukowej humanisty przez instytucje akademickie nie da się obronić, a to z uwagi na rolę autorów, którzy nie byli zatrudnieni w placówkach akademickich, a jednak ich prace odegrały znaczną rolę w ewolucjach nauki o literaturze, malarstwie, teatru, filmu (wiek XVIII – Gotthold Ephraim Lessing, wiek XIX – Maurycy Mochnacki, wiek XX – Stanisław Ignacy Witkiewicz, Sergiusz Eisenstein, Paul Valery, Thomas Stearns Eliot, Karol Irzykowski, Tadeusz Peiper, Julian Przyboś, Jan Parandowski, Wiktor Woroszyński). Dla przeciwwagi dałoby się wskazać przykłady osób naukowo utytułowanych, a mimo to legitymujących się dorobkiem lichym, epigońskim. O przynależności do środowiska naukowego decyduje naukowy charakter prac danego autora, a nie miejsce jego zatrudnienia. Tu nie autorzy sądzą autorów, lecz ich dzieła – powiedzieć by można, parafrazując słowa Cypriana Kamila Norwida.

I wreszcie po trzecie, humanista ponosi odpowiedzialność wobec osób z innych, nienaukowych skupisk, przy czym owe skupiska są tak bardzo zróżnicowane, że pozycja humanisty wymagałaby w tych przestrzeniach specjalnego uporządkowania typologicznego.

3.

Odpowiedzialność humanisty za samego siebie – to delikatna materia. Zajmując się tym fenomenem, pragniemy usystematyzować coś, co nader opornie poddaje się systematyzacji. Gdyby konstatacja Jean-Paula Sartre’a, że w formowaniu się ludzkich postaw „egzystencja wyprzedza esencję”, była bezdyskusyjna, oznaczałoby to, że każdy otrzymał od Losu szansę kierowania własną egzystencją. Mielibyśmy (bodaj teoretyczną) możliwość przejęcia kontroli nad sobą i nad oddziaływaniem na nas innych ludzi. Rzecz w tym jednak, że osobowość kształtuje się w zawiłym splecie impulsów zewnętrznych (środowisko) i wewnętrznych (kody genetyczne), przy czym dalece niejednakowa jest tu rozpoznawalność źródeł wpływu, a co za tym idzie, ich kontrolowanie. Odnosi się to także do zawodowych cech osobowości humanisty. Potrafimy odróżnić (z grubsza) właściwości odziedziczone od nabytych. Cechy odziedziczone, przekazane w genach, to na przykład słuch muzyczny, oko malarskie, predyspozycje aktorskie, uzdolnienia matematyczne, wrażliwość literacka i literaturoznawcza. Lecz w praktyce te rozróżnienia okazują się zbyt ogólne, wymagają taksonomii bardziej szczegółowej. Talent malarski nie zawsze oznacza umiejętności portrecisty czy marynisty, talent kompozytorski może się sprawdzać w jednych i zawodzić w innych gatunkach muzycznych, podobnie wszelkie pozosta-

le uzdolnienia. Znamy wybitnych prozaików, których narracje zdecydowanie przewyższały ich próby dramaturgiczne (Henryk Sienkiewicz) czy poetyckie (Stanisław Ignacy Witkiewicz, Stanisław Lem, Ryszard Kapuściński). Zdolności wrodzone z reguły są zróżnicowane gradacyjnie. Oglądałem niedawno film Andrzeja Wajdy o Andrzeju Wróblewskim, w którym wielki reżyser zwierza się, że porzucił studia malarskie, gdy zobaczył *Rozstrzelanie* i inne obrazy Wróblewskiego; doszedł do wniosku, że to, co sam chciałby powiedzieć jako malarz, powiedział o jego świecie Wróblewski; lepiej nie da się tego zrobić. Jednocześnie w naszą tożsamość wplatają się (czy wplątują) jakości nabyte, wyuczone zachowania językowe, mity i stereotypy, zapamiętane informacje z różnych dziedzin wiedzy, przekazane nam przez innych procedury operacyjne itd. Osobowość humanisty akademickiego (odnosi się to do wszelkich odmian humanistyki) formuje się i ewoluuje jako *d y n a m i c z n y r e z u l t a t „negocjacji”* między dziedziczeniem a doświadczeniem. Między genetycznym projektem „esencji” a dynamiczną presją „egzystencji”. Ta klasyczna, podręcznikowa dychotomia wydaje się dość prosta – modelowo. Z chwilą jednak, gdy usiłujemy zdać sobie sprawę ze źródeł naszych upodobań i wynikających z nich decyzji zawodowych, obrazy owych źródeł bywają mało czytelne.

Dlaczego jestem, kim jestem, w swoim zawodzie? Co zadecydowało o moim wyborze jednej szkoły badawczej i odrzuceniu innej? Czy moje zainteresowanie poetyką futurystyczną zrodziło się z wrodzonej wrażliwości na grę między brzmieniami a znaczeniami mowy? A może zaciekawienia taką grą zawdzięczam staraniom mojej mamy, która chciała nauczyć mnie słyszenia w słowach – żartu, zabawy, czegoś więcej niż wymaga tego prosta komunikacja praktyczna? Czy zająłem się translatoologią dlatego, że miała się ona okazać pomostem między ukończoną polonistyką a obiecaną mi pracą na rusycystyce poznańskiej? A jeżeli powody były wcześniejsze, tkwiące w mojej dziecięcej trójjęzyczności (rosyjsko-ukraińsko-polskiej)? Lub może powinienem uwierzyć, że „taki się urodziłem”, że – używając kolokwialnego zwrotu – „tak mam” – po rodzicach, dziadkach, pradziadkach...

Dylematy i komplikacje samopoznawcze nie zwalniają humanisty z samokontroli, w której celem pozostaje optymalna zgodność tego, kim się jest, z tym, co się robi w wybranej dziedzinie badań.

Spróbuję to krótko pokazać na przykładzie wyborów koniecznych, dokonywanych przez badaczy literatury. *O p i s a ć, z r o z u m i e ć, o c e n i ć*. Te trzy imperatywy w działalności literaturoznawczej są komplementarne, ale każdy z nich może nie tylko zdominować dwa pozostałe, ale i zadecydować o powstaniu dyscypliny samodzielnej, wymagającej specjalnych upodobań i umiejętności. Dają się zatem wyróżnić trzy podstawowe ukierunkowania badawcze, odpowiadające odmiennym wrażliwościom literaturoznawczym. Wrażliwości deskryptywnej, eksplikatywnej i aksjologicznej.

Wrażliwość deskryptywna spełnia się w dążeniu do maksymalnie bezstronnej rekonstrukcji wybranych fragmentów rzeczywistości humanistycznej, takich jak pisarska biografia, dorobek literacki pokolenia, zbiór dzieł

spełniających normy literackiego gatunku, ewolucje poetyki czy prądu artystycznego itd. Znam argumenty sprzeciwu wobec idei bezstronności działań badawczych w ogóle, a w szczególności przedsięwzięć humanistyki akademickiej. Deskrypcja czysta, całkowicie wyzwolona spod wpływu aksjologii znawcy i wolna od rezultatów – bodaj mimowiednej – interpretacji, jest w rzeczy samej do pomyslenia jedynie jako konstrukt teoretyczny. Mimo to nic nam nie zabroni mówić o deskrypcji jako nastawieniu badawczym, w którym pokusy ujęć stronniczych, subiektywnych, ideologicznych etc. są z całą mocą oddalane, neutralizowane. Tu badacz staje się „sobą” – paradoksalnie – w tym większym stopniu, im dokładniej potrafi własne „ja” podporządkować opisywanej, zewnętrznej empirii. Wymownym przykładem takiego ukierunkowania jest bibliografia kompletna – w stylu monumentalnego dzieła Karola Estreichera. Znajduje się tu wszystko, co w druku zaistniało i zostawiło ślad własnego istnienia; istnienie było dla bibliografa jedynym kryterium utrwalenia pamięci o danym tekście. Można się tego nauczyć i przeżywać jak robotę katorżniczą. I może się okazać, że mamy w sobie dar kolekcjonera, zbieracza, dokumentalisty, kogoś, kto znajduje satysfakcję w katalogowaniu wybranych przedmiotów (np. marek radioodbiorników), zdarzeń (np. wypraw polarnych), powiązań (np. rodowodowych), porządków (np. rozkładów jazdy) etc. Odpowiedzialność badacza za samego siebie, za samopoczucie zawodowe, sprowadza się do trafnego rozpoznania własnych predylekcji, gdy granica między pracą a hobby ginie z pola widzenia. Wśród zawodowych humanistów zdarzają się osoby, które w deskrypcji czują piękno i sami się w niej pięknie się sprawdzają. Odnaleźć zagubione świadectwa, umieścić je we właściwym szeregu, zweryfikować wiedzę o świadectwach znanych, acz błędnie klasyfikowanych, ułożyć całość wiarygodną, potwierdzoną dostępnymi metodami... Znam koleżanki i kolegów, dla których takie rezultaty wysiłków, nieraz niesłychanie pracochłonnych, stanowią cel zarówno pracowniczy, jak i odświętny. Z emocji deskrypcyjnych wyrasta dokumentalistyka, nieodzowna dla rozwoju wszystkich nauk humanistycznych. Historycy, teoretycy, krytycy, autorzy monografii, egzegeci nurtów artystycznych i pojedynczych dzieł, głosiciele kolejnych „zwrotów” metodologicznych, cała nasza badawcza wspólnota, my wszyscy nie istnielibyśmy bez prac dokumentalistów.

Wrażliwość eksplikatywna ukierunkowuje proces badawczy w stronę rozumienia, a w rezultacie – wyjaśniania fenomenów sztuki słowa. Eksplikacja, egzegeza, dekodowanie, deszyfracja, hermeneutyka, interpretacja (pole synonimów nazw świadczy o złożoności zadań badawczych) nadbudowują się nad deskrypcją, wykazując jej niedostateczność i zarazem nieostateczność poznawczą. Wynika to z założenia, że – sparafrazujemy tytuł tomiku poetyckiego Tadeusza Różewicza – znaczenia literackie formują się nie tylko „na powierzchni poematu”, ale także, i to głównie, „w środku”, między konfiguracjami znaków, w spotkaniach tekstu z kontekstami, w dialogu utworu z odbiorcą. Gdy spojrzymy na biografie twórców czy dzieje pokoleń, albo na różnojęzyczne czasoprzestrzenie literackie, albo na prądy łączące różne formy sztuki – jako na *sui generis* „teksty”, kryjące

w sobie liczne zagadki, wrażliwość eksplikatywna okaże się w działaniach literaturoznawcy przydatna uniwersalnie.

Wrażliwość aksjologiczna – w przeciwieństwie do deskryptywnej — fa-woryzuje to, co w przedmiocie badań literackich nierówne, nieproporcjonalne, różnopoziomowe, nacechowane dramaturgią konfliktu. Tu fenomen istnienia czy zaistnienia (autora, dzieła, poetyki) jest dalece niewystarczający dla podjęcia badań naukowych. Skoro zarówno wśród uczestników komunikacji literackiej, jak i w zbiorach jej wytworów trwa nieustanna gra o dominantę, zadaniem humanistyki literaturoznawczej jest rozpoznawanie wartości. Odwaga nastawienia aksjologicznego (odwaga ta jest związana z ryzykiem pomyłki) umożliwiają nie-odzwonne – zgodne ze sprzecznościową istotą sztuki – rozróżnianie odkrywców i naśladowców, awangardy i ariergardy, utworów reprezentatywnych i produktów peryferyjnych, inicjatyw elitarnych i masowych, i wielu analogicznych napięć w systemach kultury.

Janusz Sławiński twierdził, że wartościowanie, nie tylko krytyczno-, ale i historycznoliterackie, należy raczej do dziedziny sztuki, niż nauki. Rzecz w tym jednak, że wszelka badawcza aktywność humanisty (także deskryptywna czy eksplikatywna) wymaga osobnego kunsztu. Odpowiedzialność badacza wobec samego siebie odnosi się tutaj, powtarzam, do trafnego – zgodnego z własną wrażliwością, wyobraźnią, intuicją, spostrzegawczością, pamięcią, biegłością – wyboru metody naukowej.

4.

Na tym prostoliniowym przesłaniu sprawa się jednak nie kończy. Wybór najbliższego naszej wrażliwości ukierunkowania badawczego – to zaledwie punkt wyjścia. Co potem? W grę wchodzi dwa ciągi dalsze. Literaturoznawca może wybrany przez siebie sposób obcowania z zajmującą go rzeczywistością skontaktować z konkurencyjnymi metodami, znajdując dla deskrypcji wsparcie w doświadczeniach eksplikatywnych lub aksjologicznych, wspomagając wartościowanie rezultatami interpretacji i opisu lub odnajdując w procesach eksplikatywnych – elementy deskrypcji i rezultaty oceny. Współpraca metod zależy od zadań badawczych. Charakteryzując ukierunkowanie deskryptywne, powoływałem się na przykład bibliografii całościowej, aksjologicznie i eksplikatywnie neutralnej. Analogiczną neutralność zakłada się w opracowaniu domowego archiwum pisarza, w gromadzeniu dokumentacji życia grupy artystycznej, czasopisma, rozgłośni radiowej. A przecież i w tych obszarach zdarzają się świadectwa, wymagające interpretacji lub oceny, na przykład teksty o niepewnym autorstwie, nieznanego dacie czy miejscu powstania. Nierzadko ustalenia tego typu pozostają hipotezami, a zatem prawda o elementach poddanych deskrypcji przemienia się w prawdopodobieństwo. Z chwilą, gdy nasze rekonstrukcje wymagają komentarza (choćby w przygotowaniu bibliografii rozumowanej), bo obejmują wybrane zjawiska komunikacji literackiej, pozwalające się wyróżnić na podstawie cech labilnych, sama deskrypcja pozostaje metodą co prawda najbardziej aktywną, lecz spełniającą się w kooperacji wielu metod. Podobnie eks-

plikacja, stanowiąca zadanie centralne, w większości prac badawczych sprzymierza się z deskrypcją (interpretować można to, co poddaje się opisowi) i jednocześnie korzysta z rozeznania aksjologicznych, ukazujących dialogowo-polemiczny sens danego tekstu. I wreszcie, gdy cel główny badań nad literaturą określa ukierunkowanie aksjologiczne, z reguły – w kolejnych fazach poznania – spotyka się zarówno z opisem, jak i wyjaśnianiem znaczeń domyślnych. Zarysowana przed chwilą – z konieczności szkicowo – stratyfikacja procesów poznawczych, różnicująca i jednocześnie łącząca poszczególne ukierunkowania, otwiera optymalne perspektywy wiedzy o sztuce słowa, a zarazem daje poszczególnym znawcom szanse doskonalenia własnych, autentycznych uwrażliwień i uzdolnień. Tutaj wybór metody dominującej nie prowadzi do jej izolacji, ani do nadużycia jej rzeczywistych możliwości.

Druga możliwość, pozostająca badaczowi do wyboru, niesie ze sobą dość poważne ryzyko. Oto znawca pragnie traktować własną wrażliwość i „uzgodnione” z nią nastawienie badawcze jako jedynie sensowne. Absolutyzuje je. Sądzi, że odnalazł nie tylko we własnym naukowym *emploi*, ale w całej humanistyce akademickiej fundament, na którym da się jej aparaturę poznawczą od nowa zbudować i udoskonalić⁴.

Niekiedy za taki fundament uznaje się deskrypcję. Staje się ona podstawowym wzorcem wypowiedzi naukowej, zastępującym modele eksplikatywne i aksjologiczne. Prowadzi to do wycofania z myśli naukowej – inwencji podmiotu, na rzecz powtórzenia swoimi słowami – słów cudzych. Instrumentami poznania dzieł sztuki literackiej, zarówno pojedynczych, jak i należących do porządków wielotekstowych, okazują się działania statystyczne (wyliczenia powtarzających się cech) lub opisy, parafrazy, streszczenia, rejestry chwytów artystycznych (bez konkluzji). Z kolei w odniesieniu do tradycji literaturoznawczej rolę form dominujących przejmują studia sprawozdawcze, przeglądy cudzych dorobków (głównie obcojęzycznych), montaże cytatów, słowem – powtórzenia rzeczy gotowych. Zwalniają one słuchaczy z wysiłku lekturowych poszukiwań, co bywa pożyteczne, niekiedy zbawienne, ale wykonawcy robót pomocniczych nie dają szans udziału w rozwoju nauki. Jeżeli słucham referatu o muzyce, w którym autor przedstawia mi jedynie tezy odnalezione w obcojęzycznych rozprawach, nie wykazując ani interwencji krytycznej, ani prób rozwinięcia cudzych idei, zadaję sobie pytanie, jaki los czeka polską muzykologię – składającą się z przeglądów i streszczeń? Tę samą wątpliwość należy powtórzyć w odniesieniu do wszelkich publikacji opisowo-streszczeniowych.

W ukierunkowaniu eksplikatywnym – odwrotnie niż w pracach ograniczonych do deskrypcji – „ja” badacza uwyrażnia się tak intensywnie, że nierzadko przesłania to, czemu powinno służyć, a mianowicie przedmiot refleksji badawczej. Zdarza się dość często, zwłaszcza dziś, że interpretacje pojedynczych dzieł lub

⁴ Z takich przeświadczeń wynikają dzisiejsze, mnożące się zwroty metodologiczne (zwrot gendrowy, translologiczny, topograficzny, postkolonialny, narratologiczny, kulturowy, etyczny i inne); jedna dziedzina, jeden leksykon naukowy, jedno pole obserwacji humanistycznej ma być językiem i miejscem rozstrzygnięcia problemów dziedzin pozostałych.

egzegezy większych konstrukcji znakowych traktowane są jako sposobność dla autoprezentacji (niekiedy wręcz autopromocji) badacza, demonstracji jego chwilowych nastrojów czy przygodnych afektów. Uznanie eksplikacji za jedyną rację istnienia humanistyki wynika z – przyjętej *a priori* – teorii, wedle której pisarstwo artystyczne jest sztuką b e z w y j ą t k o w e g o ukrywania w s z e l k i c h znaczeń w k a z - d y m fragmencie literackiego przekazu. A jeżeli przyjmiemy, że żaden składnik w komunikacji literackiej nie może być jednoznaczny, żadne znaczenie dosłowne, żadne wyrażenie zrozumiałe równie prosto, jak bywa rozumiane w komunikacji praktycznej, musi z tego zostać wysnuty wniosek (sztandarowy dla poststrukturalizmu), że opozycje typu „dosłowny – przenośny”, „jednoznaczny – wieloznaczny”, „skierowany w stronę faktów – skierowany w stronę symboli” – pozbawione są racji bytu. W tekście złożonym wyłącznie z metafor, ściślej: czytany tak, jak gdyby był złożony wyłącznie z metafor, ich znaczenia stają się nieuchwytnie. Prowadzi to do odrzucenia poetyki dzieła, zakwestionowania organizacji wewnątrztekstowej, umożliwiającej twórcom sterowanie odbiorem, a przynajmniej prób takiego sterowania. Interpretacje jako demonstracje subiektywnych wrażeń interpretatora wymagają kolejnych interpretacji, te następnych, i znowu następnych, bez końca, jak w pewnej miniaturze prozatorskiej Franza Kafki. Uprawiane w tym trybie literaturoznawstwo przeistacza się w quasi-literaturę, która z uwagi na obecność fachowej terminologii – radykalnie ogranicza krąg czytelników.

Inne zagrożenia, a jednocześnie podobne efekty końcowe trzeba mieć na uwadze w ocenie aksjologicznego ukierunkowania humanistyki. Najpoważniejsze z nich to oderwanie od materii tekstowej. Tu nie liczy się żaden opis. Oceniane są obiekty, których się w żaden sposób nie uobecnia. Nie pojawiają się też próby eksplikacji, rozbudowane są natomiast leksykony ewaluacji, rozrastają się frazeologicznie wartościowania. Pouczającą lekturą mogłaby być antologia zdań wyjętych ze współczesnej krytyki literackiej, zwłaszcza poetyckiej, które to zdania olśniewają wykwintnymi strukturami, demonstrują błyskotliwe tropy i kokietyryjne aluzje, ale zawarte w nich oceny są tak ogólne i wielozakresowe, że dają się odnieść do wielu dzieł wielu autorów.

Jedyne, co się tu różnicuje, to charakter ocen: apologetycznych lub napastliwych. Nurt napastliwy znajduje oparcie w dekonstrukcji. Słuchałem jakiś czas temu radiowej rozmowy dziennikarza z filozofem (dziś filozofami nazywa się absolwentów filozofii). Usłyszałem, że humanistyka od dawna nie udziela żadnych odpowiedzi, nie proponuje żadnych diagnoz, a od niedawna zrobiła triumfalny krok do przodu i – nie stawia już żadnych pytań! „Czym się zatem zajmuje?” – pyta radiowy dziennikarz, lekko zdezorientowany. Naukowiec odpowiada: „Dzisiaj humanistyka zajmuje się wykazywaniem, że wszystkie kolejne pytania zostały sformułowane w sposób niewłaściwy”. Z reguły sprowadza się to do tropienia odpowiedzi ukrytej w pytaniu, a tropienie udaje się zawsze, gdyż formułujemy pytania w języku naturalnym, z istoty wieloznacznym, dopuszczającym znaczenia przygodne, wynikające

z asocjacji intertekstualnych, paronomastycznych, etymologicznych itd.⁵ Nawiasem mówiąc dekonstruktorzy pytań są bezradni wobec faktu, że i oni posługują się językiem naturalnym. Można zatem – stojąc nad przepaścią – zdobyć się na jeszcze jeden krok, przyjmując, że wykazywanie błędów zawartych w pytaniach jest w zajęciem w równym stopniu bezcelowym. W świetle takich idei cokolwiek robimy, musimy czynić to w przeświadczeniu, że nasz wysiłek jest bezcelowy.

Każde z trzech podstawowych ukierunkowań badawczych jest narażone na niebezpieczeństwa, które wynikają z nadmiernej, bezkrytycznej ufności znawcy wobec własnego wyboru. Humanista akademicki, powtórzmy, odpowiadając za samego siebie, nie powinien narzucać sobie zadań, które miałyby się okazać obce jego wrażliwości, lecz jednocześnie musi pamiętać, że jego rola jest rolą społeczną, określoną przez zadania dyscypliny naukowej, którą należy reformować, co nie znaczy – deformować.

5.

Komentując osobiste wybory humanisty odpowiedziałem już częściowo, choć pośrednio, na pytanie o zakres jego odpowiedzialności wobec własnego środowiska naukowego, a także wobec osób spoza zawodowej wspólnoty. Naszkicowane przeze mnie sytuacje nie należą przecież wyłącznie do wewnętrznych procesów myślowych badacza, lecz znajdują swe uzewnętrznienie w działalności naukowej, dydaktycznej, wychowawczej, publicystycznej, popularyzatorskiej. Zarazem formy owych uzewnętrznień, czyli sposoby komunikowania myśli, bezpośrednie lub pośrednie, a także relacje służbowe, pokoleniowe, godnościowe skłaniają do tego, by zajmować się przede wszystkim odpowiedzialnością osoby starszej, bardziej doświadczonej, lepiej wyedukowanej, zasobniejszej w publikacje – wobec kogoś młodszego, początkującego: nauczyciela wobec ucznia, wykładowcy wobec słuchacza, promotora wobec magistranta czy doktoranta, kierownika badawczego zespołu wobec podległych mu pracowników. Miałoby się ochotę wszystkie te i tym podobne zależności sprowadzić do relacji „mistrz – uczeń”, choć zostać czymś mistrzem – to ideał, osiągalny rzadko i zwykle na krótko.

Etyczne i taktyczne zagadnienia z tego kręgu są znane pedagogice, dydaktyce, metodykom poszczególnych specjalności, zarówno sformułowanym, jak i przekazywanym z pokolenia na pokolenia poprzez naśladowanie poprzedników, przy czym to drugie źródło bywa od pierwszego silniejsze. Gdy zaczynałem prowadzić zajęcia z grupami studenckimi na polonistyce, przypominałem sobie i świadomie kopiowałem zachowania („chwyty”) moich profesorów, Zygmunta Szwejkowskiego, Kazimierza Bartoszyńskiego, Jerzego Ziomka, Stanisława Furmanika. Przypominało to trochę pracę aktora, wzorującego się na podpatrzonych – cudzych – ruchach, gestach, reakcjach głosowych i mimicznych.

⁵ Jeżeli zapytam, „jaki jest bohater danej powieści”, zostanę „przyłapany” na tym, że nazywając „bohaterem” coś, co mi się objawia w zbiorze znaków na papierze, już sam sobie udzielam odpowiedzi – wpisując się w pewną ideologię myślenia o literaturze, a gdy na dobitkę w swym pytaniu zasugeruję, że coś, czego w świecie rzeczywistym nie ma, jakoś w ogóle „jest”, natychmiast wpadnę w czarną dziurę nierozstrzygalności...

Jakiż jest sens owego nauczycielskiego „aktorstwa”? Określiłbym go jako rozumiejący udział w procesie formowania się zawodowej tożsamości naszego podopiecznego, w jego dostrajaniu własnego „ja” do języków i metajęzyków sztuki słowa – zgodnie z rozpoznawanym podczas kolejnych zajęć nie tylko przedmiotem badań, ale i, równolegle, z poznawaniem własnych predyspozycji literaturoznawczych (lingwistycznych, historycznych, psychologicznych, filozoficznych, semiotycznych, komparatystycznych itd.). Zasadniczo, w porównaniu z tym, co mówiłem o pracy humanisty nad samym sobą, cel się tutaj nie zmienia. Podstawą kształcenia (kształtowania) humanisty pozostaje nieodmiennie jego samokształcenie (samokształtowanie). Z tą różnicą, że w opisywanej teraz sytuacji odpowiedzialność nie jest już jednoosobowa, lecz wieloosobowa. W formowaniu się tożsamości humanisty partycypuje wielu instruktorów, wykładowców, prowadzących seminaria czy specjalizacje. To po pierwsze. A po drugie – humanistyka domaga się podmiotowości. Od najwcześniejszych wtajemniczeń. Humanistą-literaturoznawcą jest się od momentu, w którym obcując z językiem, korzystając z rozmaitych kompozycji mowy młody człowiek zaczyna rozumieć jej osobliwość, odróżniać (nazwowo lub opisowo) gatunki i style, intuicyjnie przeciwstawiać sobie potoczne, paraliterackie, literackie efekty typy powagi lub żartu, prawdy lub zmyślenia itd.

Zadanie mistrza, nauczyciela, mentora spełnia się w inspiracji, nie w podporządkowaniu wychowanka własnej wrażliwości, wyobraźni, estetyce, logice. Nie oznacza to wszelako, że nauczyciel powinien przed uczniem ukrywać osobiste gusta czy sposoby pojmowania i przeżywania problemów humanistycznych. To powinna być relacja ucziwa, polegająca na spotkaniu dwóch indywidualności, prowadzącej i prowadzonej tak, by nie wymusić na słabszym obronnej reakcji konformistycznej. Jeżeli stwierdzam, że jego wyobraźnia, nasycona obcymi mi poglądami, jego sympatie badawcze czy upodobania retoryczne, terminologiczne, zmierzają wyraźnie w kierunku, którego nie lubię, w którym się źle czuję, a nie pomagają w tym ani moje argumenty, ani jego, polemika nie służy porozumieniu, pogłębia między nami przepaść, trzeba się po prostu rozstać. Niedobrze jest, gdy takim rozstaniem przeciwdziałają uczelniane regulaminy. W czasach mojej zawodowej aktywności akceptowałem zarówno odejścia studentów z prowadzonych przeze mnie grup, jak i przyjścia nowych, w dowolnym momencie.

6.

Zwracałem już uwagę na związek między odpowiedzialnością a oddziaływaniem osoby na osobę, biografii na biografię. Jedno warunkuje drugie. W życiu naukowym środowisk humanistycznych nie są to oddziaływania jednokierunkowe. Przebieg zajęć, poziom dyskusji, realizacja celów zależy nie tylko od prowadzącego konwersatorium czy seminarium, ale także od każdego uczestnika. Poczucie naukowej dojrzałości (i odpowiedzialności) rodzi się w momencie, gdy adept wiedzy humanistycznej – wygłaszając referat, wypowiadając się w dyskusji – uświadamia

sobie możliwość wpływu na myślenie wszystkich uczestników dydaktycznego zdarzenia. Także pani doktor, pana doktora, pani profesor, pana profesora.

Pamiętam wiele takich sytuacji, w których na zajęciach pojawiały się oryginalne sugestie, świeże koncepty interpretacyjne, rzadziej, ale i to się zdarzało, nowe, sensowne propozycje terminologiczne. Parokrotnie powtarzałem je w swoich tekstach, oczywiście podając imię i nazwisko autorki czy autora.

Jeden przykład. Swego czasu rozmawialiśmy na seminarium magisterskim o podstawowych sposobach badawczego obcowania z dziełem literackim, takich jak opis analiza, interpretacja i wartościowanie, studentka powiedziała: „A mi tu jeszcze jednej rzeczy brakuje, a mianowicie takiej, którą bym nazwała problematyzacją”. Jej myślenie było takie, że jeśli interpretacja polega na tym, że próbujemy wydobyć, to, co naszym zdaniem zostało zawarte, zaprojektowane w tekście artystycznym, a my owe ukryte znaczenia zdobywamy i wydobywamy, to w akcie problematyzacji odwrotnie: narzucamy utworowi sensy ważne dla nas, aktualne w naszej epoce, nakazujemy mu odpowiadać na pytania, których nie zadawał sobie ani autor, ani jego literackie *alter ego*. Taką praktykę znamy głównie z rozpraw pisanych przez badaczy, reprezentujących szkoły ideologiczne: chrześcijańską, marksistowską, liberalną, feministyczną. Samo zjawisko jest znane, Michaił Bachtin nazywał je modernizacją, sądzę jednak, że kategoria problematyzacji zasługuje na pamięć, choćby dlatego, że pojawia się w odczytaniach sensów dzieła – nie tylko zgodnych z nowymi ideologiami, ale także z normami archaicznymi, wtopionymi w lekturowe stereotypy.

7.

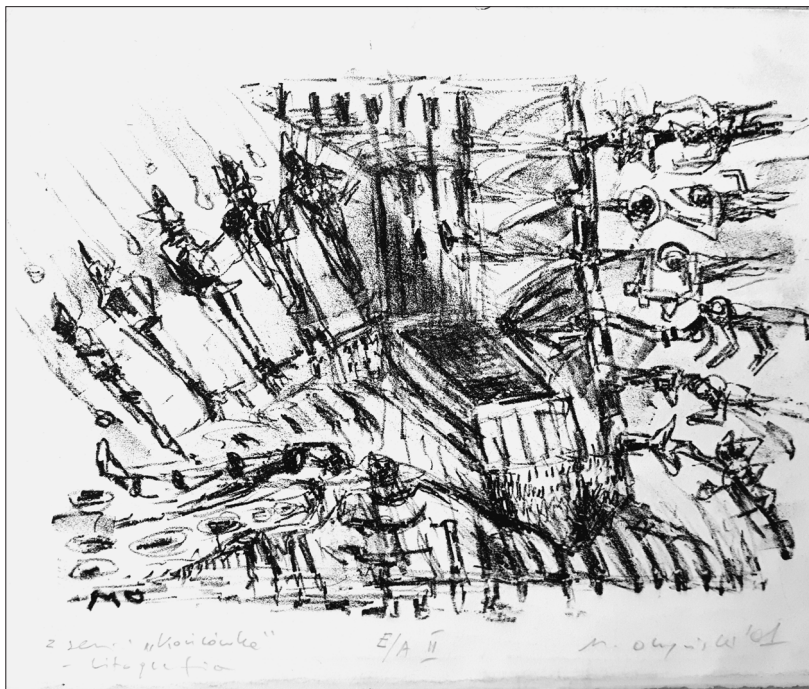
Przestrzenią trzecią, w której pojawia się humanista, jest społeczna przestrzeń spontanicznego odbioru jego prac i czynów. Przestrzeń odbioru, albo nie-odbioru, obojętności, odrzucenia. Oceniając nasz realny udział w tej przestrzeni, udział uniwersyteckich literaturoznawców, warto pamiętać, że jest ona tak szalenie dla nas trudna, niekiedy wręcz wroga, ponieważ wypełniają ją i usiłują sobie podporządkować liczne inne humanistyki. Polityczne, światopoglądowe, kosmogoniczne, komercyjne, administracyjne. Każda z nich wymagałaby nie tylko osobnej refleksji, ale i osobnej konferencji. Ich, wspomniana tu przeze mnie, wrogość objawia się w odniesieniu do suwerennej jednostki, formującej własną egzystencję w poszanowaniu własnej, przekazanej genetycznie, esencji. Dla wielu humanistyk – zarówno politycznych jak i komercyjnych, zrównujących egzystencję z konsumpcją – osobowością pożądaną jest osobowość niesuwerenna, bezkrytyczna, łatwa do zmanipulowania. Wobec naszego głosu – głos humanistyk nastawionych na ubezwłasnowolnienie jednostek i tłumów (jednostek wpędzonych w tłum) wydaje się, powiedziałby Włodzimierz Majakowski, „cieńszy od pisku”. Lecz krzepiący paradoks kultury każe przyjąć do wiadomości taką oto prawidłowość, że im potężniejszy przeciwnik, tym większe są szanse naszego udziału w grze o godność człowieka. A zarazem szanse odpowiedzialności za końcowe wyniki tej gry.

Jeżeli nie w tej chwili, to za chwilę.

A Humanist: Responsibility and Influence

Summary

Scientific humanities constitute one of many humanistic disciplines – apart from literature, art, religion, politics, social engineering, and common ideas and behaviours. A person representing one of the humanities is responsible for their actions to themselves, to their environment and to the non-scientific environment, benefiting from their work. Responsibility to ourselves is the result of the selection of our research direction, which should be consistent with our sensitivity: descriptive (aimed at describing the reality experienced), explicative (aimed at explaining) or axiological (aimed at conflicting values). In each of the varieties there is both cognitive potential and dangers of breaking contact with other sensitivities. A humanist's – as a teacher's – task, especially that of a master, mentor, supervisor is fulfilled in inspiration, which requires both respect for the personality of the taught and supervised, and openness in presenting one's own convictions and views, even if that leads to ultimate parting.



M. Olszyński, z serii *Końcówka*, litografia, 2001